



Lidia Świder

Zastępca redaktora naczelnego w miesięczniku „Kresowiak Galicyjski”, który ukazuje się nieprzerwanie od ponad trzydziestu lat. Publikuje w nim teksty literackie oraz historyczne.

KORYTARZ CIENI

Największym szyderstwem losu jest usadzenie ludzi na krzesłach poczekalni, z której jedni mogą wyjść o własnych siłach, a drudzy pozostaną w niej do końca swych dni.

Pierwsi, pogrążeni w depresji, nie uczynią pierwszego, najmniejszego kroku. Drudzy, nie zdołają, uwięzieni w ciele, które odmawia posłuszeństwa.

Wszyscy siedzieli w tej samej poczekalni. Dotykali zimnych, metalowych poręczy krzesel przykutych do podłogi, aby ktoś nie wpadł na myśl odsunięcia ich od siebie. Korytarz widmo ciągnął się do ostatniego pokoju lekarza, który decydował o ludzkim życiu. Przed jego drzwiami na wprost znajdowały się trzy krzesła obszerniejsze, oddzielone od siebie paroma centymetrami. Czekał na werdykt mogli zaniechać rozmowy.

Nie rozmawiali. Spoglądali przed siebie. Przypominali ludzi sprowadzonych na rozstrzelanie. Pełni lęku, przerażeni, czekali, kiedy drzwi gabinetu zostaną otwarte.

Pierwsze krzesło pozostało puste, tuż obok niego starsza kobieta pozostawiła wózek inwalidzki. Uniosła dłoń, na którą nikt nie zważał. Zapewne pragnęła zaznaczyć swą obecność, której nikt nie zauważył. Ludzie nie spoglądali na siebie, nie chcieli, aby ktokolwiek zadawał pytania. Wszyscy czekali na wyrok małego człowieka, który kiedyś skończył medycynę i przestał być wrażliwym człowiekiem.

Profesor wyszedł na moment ze swojego gabinetu, nie rozglądał się wokół. Potknął się o wózek inwalidzki, zaklął i odszedł. Zapadła cisza, nikt nie spodziewał się słowa, które padnie z ust Boga.

Lekarz stał się drugim Bogiem. Rzeczywistym i namacalnym. Jedynym, który ma prawo nakreślić na mapie naszego życia czas trwania i agonii. Jedynym, który odbiera wszelką nadzieję. Jedynym, który w swej precyzji wskaże czas śmierci.

Człowiek na wózku inwalidzkim nie spoznał na lekarza w białym fartuchu. W jednej chwili wszystko stało się białe – ściany, podłoga, drzwi, a nawet i wejście słońca. Spoznał, że ludzie wokół są równie bladzi, jak ten świat na kształt uwięzi, która zaciska się w każdej chwili. Pragnął uciec, lecz nie mógł wstać i wyjść. Od dwudziestu lat był sparaliżowany.

Drugie krzesło zajął mężczyzna, który przypominał cień samego siebie, jak wszystko wokół. Zastygł w dziwacznej pozie, przypominał gałęzie drzew, które dotykały okien oddziału dla tych, którzy już nie chcą bądź nie mogą wyjść. On mógł wyjść, lecz nie chciał. Depresja odebrała mu wszelkie siły. Stał się na podobieństwo człowieka sparaliżowanego, który powstać nie może. Podobny był do rzeźb, które wodzą martwym spojrzeniem za ludźmi, nie spoglądając wcale. Poznał przynajmniej odwieczne prawo tłumy.

Motłoch, który nie przeżył najmniejszej chwili bóleści, będzie oskarżał. Wskaże na innych tylko dlatego, że los okazał mu łaskę. Będzie mściwy. Będzie

wyszędził, kpił i gardził do czasu pogrążenia drugiego człowieka, dlatego tylko, że pogrążyła go depresja. Nie nasyci się jego bóleścią. Przekroczy wszelkie granice. Zacznie podkreślać swoje ego. Wywyższać się, aby na końcu drogi wzgardzić tymi, którzy już nie śmią prosić, a czekają na śmierć. Wypowie jeszcze regulki w stylu: Weź się w garść! Ogarnij się!

Na trzecim miejscu usiadła kobieta z chustką na głowie, bez brwi i rzęs. Bez nadziei, bez wiary. Po chwili wstała i spojrzała na świat, który wcześniej wydawał się jej obcy. Jakże wszystko stało się piękne i niedostępne teraz. Dostrzegła konwalie przy murze, na które nikt nie zważał, oraz bluszcze i mech ukryty w zakamarkach schodów, które wiodły do mieszkań, w których ktoś płakał bądź nie.

Nikt z tych, którzy siedzieli na miejscach oddalonych, nie uzmysławiał sobie, że człowiek cierpiący na ciężką depresję nie różni się od tych, których trawi śmiertelna choroba zwana rakiem. Cierpi dotkliwiej, każda godzina życia przypomina udękę. Na początku zgiotyłowane są pragnienia, po nich wszelkie marzenia, na koniec pozostaje bezkres, przypominający zimny wszechświat z osamotnionymi planetami.

Czas zatrzymuje piasek w klepsydrze. Czas przystaje i trwa nieskończenie długo. Żadna ze wskazówek zegara nie posunie się na ułamek myśli odmierzonego życia. Zamiera czas, a wraz z nim człowiek.

Lekarz punktualnie o godzinie wyznaczonej opuścił swój gabinet. W przerwie pomiędzy kolejnymi pacjentami zarezerwował miejsce w restauracji znanej z rzeczy jednej. Bezmyślny tłum uznał, że wypada w niej bywać z przyczyny oczywistej. Nie poruszano tam tematów bolesnych, dotkliwych, które mogłyby przysporzyć zmartwień, bądź trosk, które odbiłyby się na martwych twarzach kobiet najmniejszą zmarszczką.

Drzwi gabinetu zostały zamknięte. Lekarz wyszedł, nie spoglądając na człowieka na wózku. Innych również pominął. Pan i władca czekał teraz biernie, nie bóleści. Usprawiedliwianie samego siebie jest najwyższym poziomem sztukaterii.

Mały, biedny człowiek, który traktował z góry swego majestatu drugiego człowieka, pacjenta, zakreślając jako kolejną liczbę na grafiku przyjęć, sam stał się cyfrą. Zanimiód przed wejściem do restauracji, stracił oddech. Przypominał teraz ludzi siedzących na wprost jego gabinetu, którzy czekali.

Upadł. Nie czuł swojego ciała, nie mógł poruszyć ręką, nogą. Ciało odmówiło posłuszeństwa. Wszystkie myśli zaczęły zapadać w dół, który ktoś wcześniej wykopał poza ciałem. Miał wrażenie, że wszyscy ludzie, którzy się pochylają nad nim, drwią i gardzą. Tylko oni się nie pochylali, jedynie przyglądali z zaciekawieniem. Bezwładne jego ciało przeniesli ratownicy na nosze. Ci, którymi gardził kiedyś, nazywając najmniejszym ogniwem.

Wszystko w hałasie słów i koszmarnym wyciu syren zaczęło tracić sens. Nie słyszał słów, dźwięków najmniejszych, zapadła cisza, urywki słów pogrążyły go w nicości, z której nie mógł się wydostać. Przebudził się na korytarzu widm, ludzi czekających na audiencję u Pana Boga – lekarza. Pierwszy raz w życiu spojrzał w ich oczy. Zamilkły pieśni żałobne, których nigdy nie wysłuchał. Pojął u schyłku swojego życia, czym jest cierpienie. Przekroczył bramy piekieł, za którymi toczyły się dni konających za życia. Nie spoznał na słowa Dantego, wykute na bramie: Porzucicie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić.

Nikt teraz na niego nie zważał. Ratownicy medyczni po udzieleniu pierwszej pomocy położyli go na krańcu korytarza. Lekarz odzyskał świadomość. Nie znaczył już nic, stał się niepotrzebny, zbędny. Podobnie jak jego pacjenci, którzy prosząc o pomoc, nie doczekali jej.

Wszyscy oni pozostaną po wsze czasy w symbolicznym, zamkniętym korytarzu samotności i niezrozumienia.

Lesław Granat



Rzeszowianin, poeta, grafik. W latach 80. XX wieku działacz opozycji demokratycznej. Animator kultury niezależnej. Autor tomików wierszy i wystaw plastycznych.

Nie

w okrzykach rozpacz
niosąc horyzont zniechęconego głosu
obok wygrawerowanych pocisków i zamków
przerysowanych luster szkła
z talizmanem buntu w oczach
nieopodal kulawego wróbla
w bruku stóp śliskich piwnic i śmierdzących
koszy

z podniesionymi wskazówkami rąk
z białą chustką
bez daty powrotnej
w ciszy rozpacz
idziemy na
roz-strze-la-NIE

Pestki

ploty matnie
przestrzeni otwartej
w szeregach kątów i sklepień
dla zatrzymania białych skrzydeł
skrwawionych cienkim knotem krwi
w policzku płomienia
którym zostaliśmy oparzeni
wołając o diament narodowy z chrzcielnicy

na cerkwisku rymanowskim
ciąciwa jabłoni nadal rodzi
jabłka
pozostają jeszcze tylko
pestki hamletowe

Agata Zahuta



Poetka, autorka debiutanckiego tomiku *Le-moniadowe deszcze* (2023). Popularyzatorka literatury, właścicielka krośnieńskiego wydawnictwa Agazah. Miłośniczka starej fotografii, pasjonatka „małych ojczyzn”, autorka dwóch tomów albumowych zatytułowanych *Fryszak i okolice. Podróż ze starą fotografią*.

bruzdy

po tobie w darze niechciany spadek
przeorane wiosny jesienie
głęboko wrośnięte we mnie
uparcie nękają wspomnieniami

powoli zanika drzenie ciała
uspokajam oddech
stygłą łzy nadchodzi spokój
jasnymi oczyma wypatruję jutra
wierzę w nadejście wolności
wbrew schematowi wyglądam blizny

6 października 2017

rachunek prawdopodobny

liczę sekundy szczęścia
nie wyobrażam sobie godzin
– są zbyt odległe

1 listopada 2022

Rozmowa

Mamo... zamykam oczy.
Jesteś.
Powiedz jak Ci tam?
Mówisz – nic mnie nie boli.

Wiem – często o mnie myślisz.
Znasz moje życie,
widzisz schody, po których idę,
podobnie jak kiedyś Ty.

Pewnego dnia się spotkamy
w Twoim świecie, zadziwione,
z niedowierzaniem,
że wciąż żyjemy, jednak inaczej.

Stanisław Dłuski



Poeta, krytyk, historyk literatury, wykładowca Uniwersytetu Rzeszowskiego. Współzałożyciel i były redaktor naczelny kwartalników „Fraza” i „Nowa Okolica Poetów”. Wydał dziesięć książek poetyckich.

Kartka (rzeszowska) dla Marka Pękali

W oczach budzą się noce
Ciemniej rzeszowskie ulice
Potykam się o trawę
Która płacze się między słowami
Nogami strachami dziennej
Wędrowki po chleb litr wody
Na pociechę anioł wybaczy
Nam upadek ten bolący ząb
Grzech poszukujących twarzy
Zapisanych w szepcie brudnego
Wisłoka kiedy skóra miasta
napięta jak nasze powroty z Borku
nad ranem żony skazane
na wiersze bezbronne
nad tym ułomnym pejzażem
czai się błękitna gilotyna

Rzeszów chuligana

pamięci Stanisława Nitki

Witaj ukochany Rzeszowie!
Witam cię w codziennym słowie,
dostaję tu czasami po głowie,
rym nie służy ozdobie, bo tobie

Rzeszowie potrzeba nowej poezji,
nie chamstwa i grafomańskiej herezji.
Płyniesz ponad polami i Wisłokiem,
chcę cię widzieć trzeźwym okiem.

Bywam często nad tą rzeką, drzewa
spowiadają ją z grzechów, mewa
odmawia pacierze, bo ryba nie bierze.
Trwajmy w ojców naszej wierze!

2004

Uśmiech Łukasza

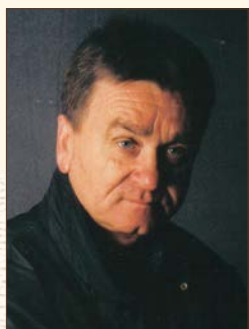
Przywraca mi wiarę
Że noce i dni nie są daremne
Kiedy sowieckie rakiety spadają
Prosto na domy pełne miłości

Przykuty do wózka
Obdarowuje bliźnich kwiatami
Słońca i czystego serca
Śnimy razem wiersze i rzeki

Nad naszymi rozmowami
O Sensie który zdobywamy
Jak Himalaje codzienności
Szyf dodaje otuchy

Czy to Stwórca zbudował
Ten most z Głogowa do Rzeszowa
Depresja odpływa z chmurami
Kiedy gwiazdy śpiewają nad nami...

Janusz Gołda



Poeta, prozaik, publicysta, autor 15 tomów poezji (najnowszy, tegoroczny pt. *śnienie*), a także opowiadań, nowel, artykułów publicystycznych i krytycznych oraz powieści, m.in. *Trzeźnia* (2005).

Tu

Mieszkali tu piękni ludzie
on ona i ono
w domu z gankiem pośród jabłoni
grusz śliw grządek warzyw i jarzyn
zagonu kapusty i kartofli

mieli gołębnik kurnik obórkę
kilka owiec parę kaczek kota
indyka psa i morską świnkę
kochali wszystkie zwierzęta
on ona i ono

palili ognisko patrzyli w gwiazdy
słuchali wiatru w koronach drzew
szumu deszczu trzepotu skrzydeł
kukułki kosa z zachwytem że jest
on ona i ono

czytali Kafkę Perry braci Grimm
tu gdzie ten głęboki lej po bombie

Kamyk

W polu na drodze poboczu
na nikogo nie czeka
i o nic nie zabiega
wie co mu przeznaczone

starczy przypadkowa ręka
by pogodził się z losem
uległ wyzwaniu i sięgnął
kamiennego nieba

był gwiazdą, księżycem
błyskawicą tęczą,
rozległej przestrzeni ciałem
i duszą kamiennych wyżyn

a gdy spełni się kaprys
i los znowu odmieni
wrócił tam skąd przyszedł
szczęśliwy szczęściem kamienia

Słowa

Nasiona ziarna kamyki łupiny
gromadzone z powodu ich wartości
cenniejszej od najdroższych klejnotów

rozrzucone pochopnie wokół siebie
pełnymi garściami szerokim gestem
z powodu błahostki żeby wyjaśnić

krągłość księżycy lub wystrój okna
w którym ufna wszystkiemu postaci
wpatruje się w pogodny pejzaż

z jej snów śnionych na wspólnym łożu
z przewracającą się z boku na bok
gnuśną ospałą rzeczywistością